



TANA FRENCH

W KORZENIACH KRYJE SIĘ ZŁO

WIEDŹMIE DRZEWO

ALBATROS

1

Zawsze uważałem się za osobę, która w zasadzie ma szczęście. Nie chcę przez to powiedzieć, że należę do tych, co potrafią, ot tak, skreślić właściwe liczby w totka i wygrać parę milionów euro albo spóźniają się parę sekund na lotnisko, a potem słyszą, że samolot się rozbił i nikt nie ocalał. Chodzi mi po prostu o to, że udało mi w życiu uniknąć typowych nieszczęść, które spotykają ludzi. Nikt mnie nie molestował w dzieciństwie, nie znęcał się nade mną w szkole; moi rodzice nie rozstali się, nie umarli, nie mieli problemów z uzależnieniami, a jeśli się kłócili, to tylko o głupstwa. Żadna z moich dziewczyn, o ile wiem, mnie nie zdradziła ani nie rzuciła, wywołując u mnie traumę; nigdy nie potracił mnie samochód, nie chorowałem na nic poważniejszego niż wietrzna ospa, nie musiałem nawet nosić aparatu na zębach. Nie poświęcałem temu większej uwagi, ale gdy o tym myślałem, towarzyszyło mi poczucie satysfakcji, że wszystko dzieje się dokładnie tak, jak powinno.

No i oczywiście miałem Ivy House. Chyba nikt, nawet dziś, nie zdołałby mnie przekonać, że nie zawdzięczałem tego domu swojemu szczęściu. Wiem, że to nie było takie proste, znam wszystkie powody w najdrobniejszych, najintymniejszych szczegółach; mogę je równiutko rozłożyć przed sobą jak czarne gałązki na śniegu i wpatrywać się w ich surowy, runiczny rysunek, dopóki sam siebie nie przekonam. Wystarczy jednak lekki powiew odpo-

wiedniego zapachu – jaśminu, herbaty Lapsang Souchong, pewnej marki staroświeckiego mydła, której nigdy nie umiałem zidentyfikować – albo promień popołudniowego światła, które pada pod określonym kątem, i natychmiast znowu się zatracam i kapituluję.

Nie tak dawno dzwoniłem nawet w tej sprawie do kuzynów – tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy trochę się wstawiłem grzanym winem na okropnej imprezie w pracy, bo gdybym był trzeźwy, nigdy bym do nich nie zadzwonił, w każdym razie nie po to, żeby prosić ich o opinie, rady czy sam właściwie nie wiem o co. Susanna najwyraźniej uznała, że moje pytanie jest głupie.

– Tak, jasne, że mieliśmy szczęście. To było niesamowite miejsce. – Ponieważ milczałem, dodała: – Jak chcesz rozgrzebywać inne rzeczy, to... – długie cięcie nożyczek i szelest papieru, w tle radosny i uroczy śpiew chłopięcego chóru; właśnie pakowała prezenty – ...ja bym tego nie robiła. Wiem, łatwo mi mówić, ale serio, Toby, po co to rozgrzebywać po tylu latach? Ale jak sobie chcesz.

Leon, który z początku autentycznie ucieszył się z mojego telefonu, błyskawicznie zeszytniał.

– Skąd mam to wiedzieć? Słuchaj, skoro już dzwonisz, zamierzam wysłać ci maila. Zastanawiam się, czy nie wpaść do domu w okolicach Wielkanocy. Będziesz...

Przerwałem mu nieco wojowniczym tonem, domagając się odpowiedzi, chociaż doskonale wiedziałem, że to najgorsza metoda na Leona, a on udał, że ma zły zasięg, i odłożył słuchawkę.

A jednak, jednak... to ma znaczenie, moim zdaniem – przynajmniej w tym momencie – największe ze wszystkich. Musiało minąć tyle czasu, żebym zaczął się zastanawiać, czym może być szczęście, jak może być cudownie złudne, jak bezlitośnie przewrotne i najeżone pułapkami, jak śmiertelnie niebezpieczne.

• • •

Tamta noc. Wiem, że mogę zacząć swoją opowieść w dowol-

nym z niezliczonych miejsc, doskonale zdają sobie sprawę, że wszyscy inni, którzy brali w niej udział, nie zgodziliby się z moim wyborem – już widzę kpiąco uniesiony kącik ust Susanny, słyszę pogardliwe prychnięcie Leona. Nic jednak na to nie poradzę: dla mnie punktem wyjścia jest tamta noc, ciemne drzwi na zardzewiałych zawiasach, oddzielające „przedtem” od „potem”, wsunięta w środek tafla magicznego szkła, która wszystko po jednej stronie zabarwia własnym ponurym kolorem, a wszystko po drugiej pozostawia rozświetlone, boleśnie bliskie, nietknięte i nieosiągalne. Chociaż można udowodnić, że to absurd – czaszka tkwiła przecież wtedy w swojej kryjówce już od wielu lat i prawdopodobnie ukazałaby się tego lata tak czy inaczej – nie umiem się jednak oprzeć przekonaniu, choć to wbrew logice, że bez tamtej nocy nie wydarzyłyby się żadna z tych rzeczy.

Noc zaczęła się od całkiem niezłego wieczoru, można powiedzieć, że świetnego. Był kwietniowy piątek, dzień, w którym pierwszy raz naprawdę czuło się w powietrzu wiosnę, a ja wyszedłem do pubu z dwoma najlepszymi kumplami ze szkoły. W Hogan's było gwarno, ciepły dzień rozwiął i rozsypał włosy wszystkim dziewczynom, chłopcy mieli podwinięte rękawy, rozmowy i śmiech nawarstwiały się i gęstniały, dopóki muzyka nie stopiła się w jeden tętniący w podświadomości rytm reggae, którego radosne bum-bum-bum dudniło w podłodze pod stopami. Czułem się jak na haju, choć nie brałem ani koki, ani niczego w tym stylu. W ciągu tygodnia miałem pewne kłopoty w pracy, ale tamtego dnia wszystkie się rozwiązały i od poczucia triumfu trochę kręciło mi się w głowie, co chwilę przyłapywałem się na tym, że za szybko mówię albo zbyt zamasyżuję przechylam piwo. Zerknęła na mnie wyjątkowo ładna brunetka z sąsiedniego stolika, a kiedy przypadkiem zatrzymałem na niej wzrok, posłała mi uśmiech, który trwał o sekundę za długo; nie chciałem tego wykorzystać – miałem naprawdę świetną dziewczynę i nie zamierzałem jej zdradzać – ale fajnie było wiedzieć, że jeszcze nie jestem do niczego.

– Podobasz się jej – zauważył Declan, wskazując ruchem głowy brunetkę, która teatralnym gestem odrzuciła do tyłu głowę, śmiejąc się z żartu koleżanki.

– Ma dobry gust.

– Jak tam Melissa? – spytał Sean, moim zdaniem niepotrzebnie. Nawet gdyby nie Melissa, ta nie była w moim typie; widowiskowe krągłości ledwie mieściły się w obcisłej czerwonej vintage'owej sukience i wyglądała na osobę, która lepiej czułaby się w bistrze zasnutym dymem z gauloise'ów, przyglądając się, jak kilku facetów walczy o nią na noże.

– Jest wspaniała – odparłem zgodnie z prawdą. – Jak zawsze. – Melissa stanowiła przeciwieństwo brunetki: drobna, o rozwichrzonych blond włosach i słodkiej, usianej piegami twarzyczce, z natury miała skłonność do rzeczy, które uszczęśliwiały ją i wszystkich wokół. Lubiła nosić jasne kwieciste sukienki z miękkiej bawełny, piec własny chleb, tańczyć do każdej melodii z radia, urządzać pikniki z płóciennymi serwetkami i idiotycznym zestawem serów. Nie widziałem już Melissy od paru dni i na myśl o niej zatęskniłem za każdym przejawem jej obecności, jej śmiechem, dotykiem jej nosa wtulonego w moją szyję, jej włosami pachnącymi wiciokrzewem.

– Jest wspaniała – powtórzył Sean zbyt znaczącym tonem.

– Tak. Właśnie to powiedziałem. Ja z nią chodzę i wiem, że jest wspaniała. Wspaniała.

– Jesteś na speedzie? – zainteresował się Dec.

– Wasze towarzystwo mnie odurza. Stary, jesteś ludzkim odpowiednikiem najczystszej, najbielszej kolumbijskiej...

– Jesteś na speedzie. Podzieliłbyś się, ty skąpy sukinsynu.

– Jestem czysty jak pupa niemowlęcia. Ty wredny żebraku.

– To czemu w takim razie obcinasz tę laskę?

– Jest piękna. To, że facet potrafi docenić urodę, nie znaczy jeszcze...

– Za dużo kawy – zawyrokował Sean. – Wlej w siebie jeszcze trochę tego, to cię wyleczy. – Wskazywał na moją szklankę.

– Dla ciebie wszystko – odpowiedziałem i wychyliłem prawie całą resztę piwa. – Aaach...

– Jest po prostu fantastyczna – rzucił Dec, przypatrując się tęsknie brunetce. – Aż żal, że się marnuje.

– Śmiało, idź zagadać – zachęciłem go. Nic z tego, nigdy nie zagadywał do dziewcząt.

– Hm.

– Idź. Dopóki na ciebie patrzy.

– Wcale nie patrzy na mnie. Patrzy na ciebie. Jak zwykle. – Dec był krępy i wiecznie spięty, miał czuprynę niesfornych miedzianych włosów i nosił okulary. Wyglądał całkiem w porządku, ale w jakimś momencie życia nabrał przekonania, że nie wygląda, co miało łatwe do przewidzenia skutki.

– Hej! – Sean udawał urażonego. – Te laski patrzą na mnie.

– Tak, jasne. Zastanawiają się, czy jesteś ślepy, czy włożyłeś tę koszulę, bo się z kimś założyłeś.

– Zazdrość – odparł Sean i ze smutkiem pokręcił głową. Był wysokim facetem, metr osiemdziesiąt osiem; miał szeroką i szczerą twarz, a jego muskulatura rugbysty dopiero zaczynała wiotczeć. Rzeczywiście, często przyciągał uwagę kobiet, ale z tego nie korzystał, ponieważ od szkoły był w szczęśliwym związku z tą samą dziewczyną. – Okropna rzecz.

– Nie martw się – pocieszyłem Declana. – Wszystko wkrótce się zmieni. Dzięki temu... – Subtelnym ruchem głowy wskazałem na jego rudą strzechę.

– Dzięki czemu?

– No przecież wiesz. Temu. – Szybko pokazałem na swoje włosy nad czołem.

– O czym ty gadasz?

Nachylając się dyskretnie nad stolikiem, powiedziałem przyciszonym głosem:

– O implantach. Brawo, stary.

– Nie mam żadnych pieprzonych implantów!

– Nie ma się czego wstydzić. W dzisiejszych czasach robią to wszystkie wielkie gwiazdy. Robbie Williams. Bono.

Oczywiście jeszcze bardziej oburzyłem tym Deca.

– Z moimi włosami nic złego się nie dzieje, do cholery!

– Przecież mówię. Wyglądają fantastycznie.

– W ogóle nie rzucają się w oczy – zapewnił go Sean. – Nie chodzi mi o to, że ich nie widać, ale że fajnie wyglądają, rozumiesz?

– Nie rzucają się w oczy, bo nie istnieją – gorączkował się Dec. – Nie mam żadnych...

– Daj spokój – przerwałem mu. – Przecież je widzę. Tu i...

– Odwał się ode mnie!

– Wiem. Zapytajmy tę panią, co o tym sądzi. – Zacząłem dawać znak brunetce przy stole obok.

– Nie. Nie, nie, nie. Toby, mówię serio, naprawdę cię zabiję... – Usiłował chwycić mnie za rękę, którą machałem. Zdążyłem zrobić unik.

– Idealny temat na początek rozmowy – zauważył Sean. – Nie wiedziałeś, jak zagadać, prawda? No to masz okazję.

– Walcie się obaj – odciął się Dec, porzucając próby złapania mojej ręki i wstając. – Jesteście parą debili. Wiecie o tym?

– Och, Dec, nie opuszczaj nas – poprosiłem.

– Idę do kibla. Dam wam szansę, żebyście się opanowali. Pajacu – zwrócił się do Seana – chyba ty teraz stawiasz.

– Chce sprawdzić, czy wszystkie są na miejscu – powiedział do mnie Sean, wskazując gestem na swoje włosy, po czym znów spojrzął na Deca. – Zburzyłeś je sobie. Zobacz, w tym miejscu zupełnie się...

Dec pokazał nam obu środkowy palec i ruszył przez tłum w stronę toalety; starał się zachować godność, przeciskając się między tyłkami i rozkołysanymi szklankami, mocno skupiony na tym, by nie zwracać uwagi na nasz wybuch śmiechu i na brunetkę.

– Na chwilę naprawdę dał się nabrać – rzucił Sean. – Cymbał.

Jeszcze raz to samo?

Gdy ruszył do baru, a ja miałem chwilę dla siebie, wysłałem SMS-a do Melissy: *Wyskoczyłem z chłopakami na piwo. Zadzwo-
nię później. Kocham cię.* Odpisała od razu: *Sprzedalam ten idio-
tyczny fotel w stylu steampunk!!! i kilka emotikonów z fajerwerka-
mi. Projektantka była taka szczęśliwa, że płakała do słuchawki, a
ja tak się cieszyłam z jej radości, że też o mało się nie poryczałam
:-).* *Pozdrów ode mnie chłopaków. Też cię kocham xxx.* Melissa
prowadziła małe sklepienie w Temple Bar, w którym sprzedawała
osobliwe rzeczy projektowane przez Irlandczyków: zabawne ze-
stawy połączonych ze sobą porcelanowych wazonów, kaszmiro-
we koce w neonowe kolory, ręcznie rzeźbione gałki do szuflad w
kształcie śpiących wiewiórek albo rozłożystych drzew. Ten fotel
próbowała sprzedać od wielu lat. Odpisałem: *Gratulacje! Jesteś
tytanem sprzedaży.*

Sean przyszedł z piwem, a Dec wrócił z toalety, znacznie bar-
dziej opanowany, ale wciąż skrzętnie unikał wzroku brunetki.

– Spytałismy tę panią o zdanie – poinformował go Sean. –
Według niej implanty włosów są piękne.

– Powiedziała, że podziwia je przez cały wieczór – dodałem.

– Pytała, czy mogłaby ich dotknąć.

– I czy mogłaby je polizać.

– Pocałujcie się w dupę. Powiem ci, czemu ciągle się na ciebie
gapi, gnido – zwrócił się do mnie Dec, przysuwając sobie stołek.

– Nie dlatego, że jej się podobasz, ale dlatego, że widziała twoją
przymilną gębę w gazecie i próbuje sobie przypomnieć, czy osku-
bałeś jakąś babcię z oszczędności, czy przeleciałeś piętnastolatkę.

– To by jej w ogóle nie obchodziło, gdybym się jej nie podo-
bał.

– Chyba śnisz. Sława uderzyła ci do głowy.

Parę tygodni wcześniej rzeczywiście w gazecie ukazało się
moje zdjęcie – w rubryce towarzyskiej, przez co spadła na mnie
lawina drwin i złośliwości – bo podczas zdarzenia związanego

z pracą, otwarcia wystawy, zdarzyło mi się rozmawiać z pewną aktorką, weteranką telenoweli. Zajmowałem się PR-em i marketingiem w niezbyt dużej, ale dość prestiżowej galerii sztuki w centrum miasta, parę uliczek i zaułków od Grafton Street. Nie o takiej pracy myślałem, gdy kończyłem college; miałem w planach dużą agencję PR, a na rozmowę kwalifikacyjną poszedłem w ramach ćwiczeń. Kiedy się tam jednak znalazłem, nieoczekiwanie spodobał mi się wysoki georgiański, prawie nieremontowany budynek, w którym wszystkie podłogi były nachylone pod dziwnymi kątami, i spodobał mi się również właściciel galerii, Richard, który przypatrywał mi się zza przekrzywionych okularów i pytał o moich ulubionych irlandzkich artystów. Na szczęście przygotowałem się do rozmowy, więc potrafiłem udzielić na wpół sensownych odpowiedzi i ucieliśmy sobie długą i sympatyczną pogawędkę o le Brocquy i Pauline Bewick oraz wielu innych osobach, których nazwiska wcześniej ledwie obili mi się o uszy. Spodobała mi się też zapowiedź, że dostanę wolną rękę. W dużej firmie pierwsze parę lat spędziłbym przed komputerem, posłusznie podlewając i przycinając cudze pomysły na świetne kampanie w mediach społecznościowych, wahając się, czy usunąć rasistowskie komentarze internetowych trolli na temat nowego smaku czipsów, czy zostawić je, żeby robiły szum. W galerii mógłbym wypróbować wszystko, co chciałem, naprawiać w locie swoje błędy żółtodzioba i nikt nie patrzyłby mi przez ramię – Richard nie był pewien, czym właściwie jest ten Twitter, choć wiedział, że naprawdę może mu się przydać, i z pewnością nie należał do entuzjastów mikrozarządzania. Gdy zaproponował mi pracę, co mnie nieco zaskoczyło, nie wahalem się ani chwili. Spędzę u niego parę lat, pomyślałem, dopiszę do CV kilka błyskotliwych sukcesów w reklamie, a potem będę mógł wskoczyć do jednej z dużych agencji na stanowisko, które rzeczywiście sprawi mi satysfakcję.

Mijało właśnie pięć lat, zaczynałem badać grunt i spotykałem się z całkiem miłym odzewem. Wiedziałem, że będę tęsknił za ga-

lerią – polubiłem nie tylko wolność, ale także samą pracę, polubiłem artystów z ich śmiesznym zamiłowaniem do perfekcjonizmu, cieszyłem się, gdy stopniowo zaczynałem rozumieć, dlaczego Richard z entuzjazmem rzuca się na jednego artystę, a drugiemu z miejsca odmawia. Miałem jednak dwadzieścia osiem lat, rozmawialiśmy z Melissą o wspólnym mieszkaniu, a choć galeria płaciła nieźle, to jednak bez porównania mniej niż duże agencje, czułem więc, że już czas spoważnieć.

Wszystko to w ostatnim tygodniu o mały włos nie poszło z dymem, ale szczęście mnie nie opuściło. Moje myśli szalały jak stado border collie i to było zaraźliwe, Sean i Dec zwiłali się ze śmiechu. Planowaliśmy tego lata męskie wakacje, nie mogliśmy się jednak zdecydować, dokąd pojedziemy. „Tajlandia? Zaraz, kiedy jest pora monsunów?” Poszły w ruch telefony. „Kiedy jest pora zamachów stanu?” Dec z jakiegoś powodu upierał się przy Fidzi. „To musi być Fidzi, nigdy więcej nie będziemy już mieli okazji, kiedy...” Niby subtelnym gestem wskazał na Seana. W Boże Narodzenie Sean się żenił i choć po dwunastu latach związku trudno było mówić o niespodziance, to jednak ślub wydawał się niespodziewany i niepotrzebny, a gdy pojawiał się jego temat, nieuchronnie prowadził do drwin: „Stary, jak tylko powiesz »tak«, twoje dni będą już policzone. Zanim się zorientujesz, będziesz miał dzieciaka i po tobie...”. „Za ostatnie wakacje Seana!” „Za ostatnie wyjście do pubu Seana!” „Za ostatni łódzik Seana!” W rzeczywistości Dec i ja bardzo lubiliśmy Audrey, a na widok krzywego uśmiechu Seana – udawał złość, ale w głębi serca cieszył się jak dziecko – pomyślałem o Melissie, z którą byłem od trzech lat i być może powinienem się już oświadczyć. Tymczasem cała ta nasza gadanina o ostatnich okazjach kazała mi zerknąć na brunetkę przy sąsiednim stoliku, która opowiadała anegdotę, pomagając sobie żywo gestami rąk o karminowych paznokciach, a z kąta, pod jakim przechylała szyję, odgadłem, że doskonale zdaje sobie sprawę, że na nią patrzę, i nie miało to nic wspólnego ze zdjęciem w gazecie. „Nie martw się,

Sean, zadbamy o ciebie w Tajlandii!” „Za pierwszego tajskiego transa dla Seana!”

Moje wspomnienia tego, co było potem, są nieco porwane. Oczywiście później analizowałem je milion razy, obsesyjnie przeczesując każdą nitkę w poszukiwaniu supła, nieodwracalnie zmieniającego cały wzór. Miałem nadzieję, że istnieje jeden szczegół, którego wagę przegapiłem, małeńki zwornik, wokół którego wszystkie kawałki ułożą się we właściwych miejscach i całość rozbłyśnie różnobarwnym światłem jak komplet obrazków w jednorękim bandycie, a ja podskoczę z okrzykiem „Eureka!”. Nie pomagały mi w tym zadaniu brakujące elementy („To się bardzo często zdarza” – uspokajali mnie lekarze. Zupełnie normalne, och, bardzo, bardzo normalne). Z czasem sporo z nich wróciło, sięgnąłem też do pamięci Seana i Deca, by pracowicie i posiłkując się logiką, złożyć obraz tamtego wieczoru jak stary fresk z ocalonych fragmentów, ale skąd mogłem mieć pewność, co wypełniało luki? Potrąciłem kogoś ramieniem przy barze? Mówiłem za głośno, unoszony na skrzydłach euforii, a może wyrzuciłem ramię w szerokim geście i trafiłem w czyjeś piwo? Może w ciemnym kącie szczyrzył zęby nafaszerowany sterydami były chłopak brunetki? Nigdy nie uważałem się za człowieka, która szuka guza, ale niczego nie można było wykluczyć.

Długie, kremowe smugi światła na ciemnym drewnie. Dziewczyna w sztruksowym kapeluszu z opadającym rondem, oparta o bar i rozmawiająca z barmanem o jakimś koncercie, kiedy poszedłem zamówić kolejkę, wschodnioeuropejski akcent, ręce wyginające się w nadgarstkach jak u tancerki. Podeptana ulotka na podłodze, zielono-żółta, pseudonaiwny rysunek jaszczurki gryzącej własny ogon. Poszedłem umyć ręce w toalecie, zapach środka dezynfekującego, chłód.

Pamiętam za to, jak zadzwonił mój telefon, w samym środku burzliwej dyskusji o tym, czy następny film z serii *Gwiezdnych wojen* będzie gorszy od poprzedniego, jak miał dowodzić skompli-

kowany algorytm ułożony przez Deca. Rzuciłem się, aby sprawdzić wiadomość – myślałem, że ma coś wspólnego z sytuacją w pracy, Richard chce poznać najnowsze wiadomości, a może Tiernan w końcu zdecydował się odpowiedzieć na moje telefony – ale to było tylko urodzinowe zaproszenie z Facebooka.

– Co tam? – zainteresował się Sean, zerkając na mój telefon, a ja uświadomiłem sobie, że sięgnąłem po niego zbyt gwałtownie.

– Nic – odparłem i schowałem komórkę. – A co powiecie na przykład o *Uprowadzonej*, w pierwszej części córka jest ofiarą, a potem zmienia się w prawą rękę bohatera... – I wróciliśmy do rozmowy o filmach, w której przeskakiwaliśmy na tyle tematów, że żaden z nas już nie pamiętał, jakie zdanie kto miał na początku. Właśnie tego potrzebowałem: żeby Dec gestykulował pochylony nad stołem, Sean z niedowierzaniem rozkładał ręce, żebyśmy starali się przekrzyczeć jeden drugiego w zażartej dyskusji o Hagridzie... Jeszcze raz wyjąłem telefon i wyciszyłem.

Kłopoty w pracy nie wynikły z mojej winy, a jeśli się do nich przyczyniłem, to w marginalnym stopniu. Wszystko zaczęło się od Tiernana, faceta odpowiadającego za wystawy, chudego hipstera o długim podbródku, który nosił klasyczne okulary w rogowych oprawkach i najchętniej rozmawiał na swoje dwa ulubione tematy: o mało znanych kanadyjskich zespołach grających alternatywny folk oraz o niesprawiedliwości wynikającej stąd, że jego sztuka (staranne portrety olejne bywalców imprez rave z głowami gołębi o bezmyślnych oczach i tego typu dzieła, które powstawały w pracowni zafundowanej mu przez rodziców) nie zyskała sławy, na jaką zasługiwała. Rok wcześniej Tiernan wpadł na pomysł zorganizowania zbiorowej wystawy, na której wykluczona społecznie młodzież przedstawiałaby przestrzeń miejską. Obaj z Richardem przyklasnęliśmy projektowi. Łatwiej moglibyśmy nagłośnić takie przedsięwzięcie tylko wówczas, gdyby wśród społecznie wykluczonej młodzieży znaleźli się syryjscy uchodźcy, najlepiej transseksualni, a Richard, mimo że chodził w przetartych tweedach i

sprawił wrażenie zupełnie oderwanego od rzeczywistości, świetnie zdawał sobie sprawę, że galeria potrzebuje prestiżu i środków finansowych, bo inaczej zostanie zamknięta. Zaledwie kilka dni po tym, jak Tiernan wyszedł z pomysłem wystawy – zrobił to mimochodem na comiesięcznym zebraniu, strzepując z serwetki cukier z pączka – Richard dał mu zielone światło.

Poszło jak z płatka. Tiernan przeszukał najbardziej podejrzane szkoły i bloki komunalne (w jednym z tych miejsc grupka ośmiolatków na jego oczach za pomocą młotka kamieniarskiego zmieniła jego rower w dzieło Salvadora Dalego) i zebrał grupę dzieciaków o odpowiednio złej reputacji, z drobnymi przestępstwami na koncie, oraz kolekcję stworzonych przez nich niechlujnych rysunków, na których pojawiały się strzykawki, odrapane bloki, czasem koń. Trzeba przyznać, że nie wszystkie były aż tak przewidywalne. Pewna dziewczyna na przykład konstruowała małe, ponure modele domów swoich rodzin zastępczych, wykorzystując materiały podkradzione z opuszczonych placów budowy – brezentowa figurka mężczyzny siedziała zgarbiona na kanapie wyciosanej z kawałka betonu, obejmując ramieniem lalkę-dziewczynkę w sposób, który budził we mnie niepokój. Inny z kolei dzieciak z przedmiotów, które znajdował na klatce schodowej w swoim bloku – z rozgniecionej zapalniczki, dziecięcych okularów ze skrzywionym zauszniakiem czy torby foliowej związanej w misterny supeł – robił gipsowe odlewy przypominające zastygłe figury z Pompejów. Zakładałem, że wystawa będzie sukcesem wyłącznie dzięki swojemu wymiarowi moralnemu, ale znalazło się na niej parę naprawdę niezłych rzeczy.

Tiernan był szczególnie dumny z jednego odkrycia: osiemnastolatka znanego pod pseudonimem Gouger. Gouger nie chciał podać swojego prawdziwego nazwiska, rozmawiać z nikim prócz Tiernana ani, niestety, udzielać wywiadów – większą część życia spędził w poprawczakach, dlatego zyskał sobie skomplikowaną sieć wrogów i obawiał się, że kiedy zobaczą, jak staje się sławny i

bogaty, będą go ścigać – ale artystą był niezłym. Używał różnych technik, farby w sprayu, fotografii, rysunku piórkim, nakładając je warstwa po warstwie z pozorną niedbałością, która dawała wrażenie gorączkowego pośpiechu, kazała widzowi patrzeć uważnie i szybko, zanim coś zniecka wyskoczy z boku i z rykiem roztrząsa obraz na odłamki kolorów i kresek. Jego sztandarowe dzieło – wielki, nakreślony węglem krąg nastolatków, z odrzuconymi do tyłu głowami, wrzeszczących wokół namalowanego sprayem ogniska i potrząsających puszkami, z których neonowym łukiem tryska alkohol – nosiło tytuł *BoHeroin Rhapsody*, a kiedy umieściłem je na naszej facebookowej stronie, zainteresowało kilku kolekcjonerów.

Wydział Sztuki i rada miejska Dublina dosłownie zasypywały nas pieniędzmi. Media poświęcały nam więcej uwagi, niż się spodziewałem. Tiernan przyprowadził swoje dzieciaki, które łąziły po galerii, trącały się łokciami, półgłosem wygłaszały złośliwe uwagi i z nieodgadzionymi minami przyglądały się prezentowanym na wystawie *Dywergencje* abstrakcjom wykonanym z użyciem technik mieszanych. Na nasze zaproszenie odpowiedziało wiele znakomitości, informując nas, że z wielką przyjemnością wezmą udział w wernisażu. Richard dreptał uśmiechnięty po galerii, nucąc arie z operetek, przetykane dziwnymi melodiami, które gdzieś usłyszał (Kraftwerk???). Dopiero po jakimś czasie wszedłem pewnego popołudnia bez pukania do pokoju Tiernana i zobaczyłem, jak kuca na podłodze, poprawiając ostatnie detale najnowszego arcydzieła Gougera.

Kiedy minęła sekunda szoku, wybuchnąłem śmiechem. Rozbawił mnie wyraz twarzy Tiernana – mieszanina pąsowego poczucia winy i nastroszonej gotowości do obrony – gdy szukał wiarygodnej wymówki. Śmiałem się też z samego siebie, że tak beztrząsco przyjąłem wszystko za dobrą monetę, niczego nie podejrzewając, choć oczywiście powinienem zorientować się już parę miesięcy wcześniej. Bo właściwie kiedy upośledzona społecznie młodzież

pojawiła się w polu zainteresowań Tiernana?

– No, no – powiedziałem, nie przestając się śmiać. – Patrzenie tylko.

– Ciii – syknął. Uniósł ręce i nerwowo zerknął na drzwi.

– Oto i nasz Gouger. We własnej osobie.

– Jezu, zamknij się, proszę. Przecież Richard...

– Jesteś przystojniejszy, niż przypuszczałem.

– Posłuchaj, Toby. Nie, nie, posłuchaj... – Rozłożył ręce przed obrazem i wyglądało to tak absurdalnie, jakby próbował go ukryć: „Obraz? Jaki obraz?”. – Jeżeli to się wyda, to koniec, już po mnie, nikt się nie...

– Jezu, Tiernan – powiedziałem. – Uspokój się.

– Te obrazy są dobre, Toby. Naprawdę dobre. Ale to jedyny sposób. Jeżeli będzie wiadomo, że są moje, nikt się nimi nie zainteresuje, studiowałem sztukę...

– To tylko prace Gougera? Czy innych dzieciaków też?

– Tylko Gougera. Przysięgam.

– Hm. – Zajrzałem mu przez ramię. Klasyczny Gouger, gruba warstwa czarnej farby, na której wydrapano postacie dwóch chłopców zwartych w zapaśniczym chwycie, a przez ich sylwetki było widać ścianę precyzyjnie narysowanych ołówkiem balkonów i wyraźne mikroskopijne sceny rozgrywające się na każdym z nich. Namalowanie tego obrazu musiało trwać wieki. – Od kiedy to planowałeś?

– Od jakiegoś czasu, ale nie zamierzałem... – Wlepił we mnie zaskoczone spojrzenie. Był bardzo zdenerwowany. – Co chcesz zrobić? Chcesz...

Prawdopodobnie powinienem od razu iść do Richarda i opowiedzieć o wszystkim, a przynajmniej znaleźć pretekst, by zdjąć z wystawy prace Gougera – albo że wrogowie są na jego tropie, albo że mógłby przedawkować, licząc na to, że stanie się jeszcze większą atrakcją. Szczerze mówiąc, w ogóle nie brałem tego pod uwagę. Wszystko szło doskonale, a osoby zaangażowane w to

przedsięwzięcie cieszyły się jak dzieci. Przerwanie przygotowań zepsułoby ludziom radość, moim zdaniem bez wyraźnego powodu. Gdyby nawet przyjrzeć się etycznej stronie sprawy, dotyczyła w zasadzie tylko Tiernana. Nigdy nie podzielałem samokrytycznego przekonania klasy średniej, że życie w biedzie i skłonność do popełniania drobnych przestępstw w magiczny sposób czynią człowieka szlachetniejszym, wręcz autentyczniejszym i pozwalają mu na głębszy kontakt z artystyczną prawdą. Jeśli chodziło o mnie, wystawa wyglądała dokładnie tak samo jak dziesięć minut wcześniej; jeżeli ludzie, zamiast podziwiać całkiem niezłe obrazy, które mieli przed nosem, woleli skupiać się na jakimś miłym złudzeniu gdzieś za nimi, to był ich problem, nie mój.

– Spokojnie – powiedziałem. Tiernan był w takim stanie, że pozostawianie go w nim dłużej byłoby okrucieństwem. – Niczego nie zamierzam robić.

– Nie?

– Słowo.

Wolno odetchnął, wypuszczając powietrze drżącymi ustami.

– Okay. Rany, ale się przeraziłem. – Wyprostował się i przyjrzał obrazowi, po czym poklepał górną krawędź, jakby uspokajał spłoszone zwierzę. – Są dobre. Dobre, prawda?

– Wiesz, co powinieneś zrobić? – odparłem. – Więcej tych z ogniskami. Żeby powstała seria.

Oczy mu rozbłysły.

– Mógłbym – rzucił. – Niezły pomysł... od ułożenia ogniska aż po świt, kiedy, rozumiesz, zostaje tylko popiół... – Odwrócił się do biurka, szukając papieru i ołówka, a w myślach malował już po kolei wszystkie sceny.

Wyszedłem, żeby mu nie przeszkadzać.

Po tym małym potknięciu przygotowania do wystawy znów potoczyły się gładko i wyszły na ostatnią prostą przed otwarciem. Tiernan w szalonym tempie pracował nad serią obrazów z ogniskami, spiesząc się do tego stopnia, że sypiał chyba nie więcej

niż dwie godziny na dobę, ale jeśli ktokolwiek zwrócił uwagę, że chodzi brudny, ma nieprzytomny wzrok i ciągle ziewa, nie miał powodu kojarzyć tego z obrazami, które przynosił z triumfalną regularnością. Z anonimowości Gougera utkałem zagadkę na miarę drugiego Banksy'ego, tworząc szereg fałszywych kont na Twitterze, gdzie w języku półanalfabetów przetykanym internetowym slangiem toczyły się dyskusje, czy to ten gość z bloków, który wtedy dźgnął nożem Mixiego, bo jeżeli tak, to Mixie go szuka. Media rzuciły się na to łapczywie, a liczba obserwujących nasze konto gwałtownie podskoczyła. Rozmawiałem z Tiernanem pół żartem, pół serio o zaangażowaniu autentycznego dresiarza, aby stał się twarzą produktu w zamian za odpowiednio wysoką sumę, którą mógłby finansować swój nałóg; oczywiście potrzebny byłby ćpun, by uzyskać jak najbardziej naturalistyczny efekt. Ostatecznie jednak porzuciliśmy ten pomysł, ponieważ dresiarz nałogowiec okazałby się zbyt krótkowzroczny i pogrzebałby własną wiarygodność: prędzej czy później albo zaczęłby nas szantażować, albo domagać się kontroli nad artystyczną stroną projektu i sytuacja mogłaby się skomplikować.

Pewnie powinienem się martwić, co będzie, jeśli plan się nie powiedzie – czyhało tyle niebezpieczeństw, na przykład mógł się trafić dziennikarz z ambicjami śledczymi, mogłem palnąć byka w slangu na twitterowym koncie Gougera – ale w ogóle się tym nie przejmowałem. Zawsze uważałem zamartwianie się za śmiechu wartą stratę czasu i energii; znacznie łatwiej jest spokojnie zajmować się swoimi sprawami, a problemy rozwiązywać dopiero wtedy, gdy się pojawiają, jeżeli w ogóle się pojawiają, co najczęściej się nie zdarza. Dlatego byłem kompletnie zaskoczony, gdy miesiąc przed planowanym otwarciem wystawy i zaledwie cztery dni przed tamtą nocą Richard wszystkiego się dowiedział.

Nadal nie jestem pewien, jak do tego właściwie doszło. Ze strzępów informacji, które do mnie dotarły, udało mi się wywnioskować, że chodziło o jakiś telefon (stałem przyklejony do drzwi

swojego pokoju i wpatrywałem się w odrapaną białą farbę, czując, jak powoli przyspiesza mi tętno aż do nieprzyjemnego pulsowania w gardle), ale Richard wyrzucił Tiernana tak szybko, w tak burzliwym porwywie wściekłości, że nie mieliśmy nawet okazji pogadać. Potem wparował do mojego pokoju – zdążyłem odskoczyć, żeby nie dostać drzwiami w twarz – kazał mi się wynosić i nie wracać do piątku, bo wtedy zamierzał podjąć decyzję, co ze mną zrobić.

Wystarczyło rzucić na niego okiem – blady jak ściana, z popniecionym kołnierzykiem i szczękami zaciśniętymi jak pięści – żebym posłuchał głosu rozsądku i ugryzł się w język, nawet gdybym miał szansę wymyślić coś w miarę składnego, zanim zatrzaskał za sobą drzwi z hukiem, który zdmuchnął mi papiery z biurka. Spakowałem rzeczy i wyszedłem, unikając spojrzenia okrągłych oczu naszej księgowej Aideen, wyglądającej z zaciekawieniem przez szparę w drzwiach, a idąc na dół schodami, starałem się maszerować żwawym i beztroskim krokiem.

Przez następne trzy dni głównie się nudziłem. Pomyśl, aby komuś powiedzieć, co się stało, byłby idiotyczny, skoro istniało spore prawdopodobieństwo, że cała sprawa rozejdzie się po kościach. Zdumiało mnie tylko natężenie gniewu Richarda – jasne, można było się spodziewać, że będzie zły, ale ten napad furii wydawał się przesadną reakcją. Byłem prawie pewien, że po prostu miał gorszy dzień i kiedy wrócę do pracy, już mu przejdzie. Tkwiłem więc w domu przez cały dzień, żeby przypadkiem nikt nie zauważył mnie w miejscu, w którym nie powinno mnie być. Nie mogłem nawet do nikogo zadzwonić. Nie mogłem spędzić nocy u Melissy ani zaprosić jej do siebie, bo być może rano chciałaby iść razem ze mną do pracy – jej sklep był tylko pięć minut od galerii, więc po wspólnej nocy przeważnie wychodziliśmy razem, trzymając się za ręce i szczebiocząc jak para nastolatków. Powiedziałem jej, że się przeziębilem, i przekonałem ją, by nie zjawiała się, żeby się mną zająć, bo mogłaby się zarazić. Dzięki Bogu nie należała do tych kobiet, które natychmiast podejrzewają zdradę. Strasznie dużo czasu spę-

działem na grach na konsoli, a gdy szedłem do sklepu, na wszelki wypadek ubierałem się jak do pracy.

Na szczęście nie mieszkalem w takim miejscu, w którym człowiek co dzień wesoło macha do sąsiadów, gdy rano wychodzi do pracy – w takim, co to ktoś natychmiast zajrzałyby do niego z ciasteczkami, żeby sprawdzić, czy nic mu się nie stało, gdyby raz się nie pojawił. Moje mieszkanie znajdowało się na parterze niezgrabnego ceglanego bloku z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Wciśnięty między piękne wiktoriańskie budynki, wyraźnie nie pasował do tej wyjątkowo ładnej części Dublina. Ulica była szeroka i przestronna, wysadzana ogromnymi drzewami, których korzenie w wielu miejscach wybrzuszyły chodnik, a architekt wykazał się przynajmniej odpowiednią wrażliwością, by na to zareagować; w salonie miałem wielkie okna od podłogi do sufitu i oszklone drzwi z obu stron, więc latem cały pokój zmieniał się w cudowną, oślepiającą kulę słonecznego światła, cętkowaną cieniem liści. Jeśli nie liczyć tego jedyne go przebły sku natchnienia, reszta dzieła architekta prezentowała się jednak marnie: z zewnątrz budynek był do bólu funkcjonalny, a korytarze tworzyły fantasmagoryczną aurę tymczasowości, jak w hotelu przy lotnisku. Długi, niknący w oddali pas brązowej wykładziny, długie pasy fakturowanej beżowej tapety, rzędy tandetnych drewnianych drzwi po obu stronach i nieruchome żółtawe światło sączące się z brudnych kinkietów z rżniętego szkła. Nigdy, przenigdy nie widziałem żadnych sąsiadów. Od czasu do czasu słyszałem głuchy stukot, gdy ktoś upuścił coś na podłogę nade mną, a raz przytrzymałem drzwi facetowi o wyglądzie księgowego, który miał trądzik i dźwigał mnóstwo toreb z Marksa & Spencera, ale poza tym wydawało się, jakbym miał cały blok dla siebie. Nikt nie mógł się zainteresować ani zauważyć, że zamiast iść do pracy, siedziałem w domu, wysadzałem fortyfikacje na ekranie i wymyślałem historyjki z galerii, żeby wieczorem opowiedzieć je przez telefon Melissie.

Czasem ogarniała mnie panika. Tiernan nie odbierał, nawet

gdy dzwoniłem ze swojego zastrzeżonego numeru stacjonarnego, więc nie miałem pojęcia, czy wyspał mnie z kretelem, ale już sam brak kontaktu nie był chyba dobrym znakiem. Powtarzałem sobie, że gdyby Richard chciał mnie wylać, zrobiłby to od razu, w ten sam sposób jak wywalił Tiernana. Ta teoria na ogół wydawała się sensowna i podnosiła mnie na duchu, zdarzały się jednak chwile (najczęściej w środku nocy, gdy gwałtownie otwierałem oczy, obudzony smugą światła, która złowrogo pełzała po suficie sypialni, kiedy przed domem niemal bezgłośnie przejeżdżał samochód), w których z całą siłą uświadamiałem sobie grozę sytuacji. Jeśli bym stracił pracę, jak ukryłbym to przed ludźmi – przed przyjaciółmi, rodzicami... Boże, przed Melissą! – dopóki nie znalazłbym nowej? A jeżeli nie mógłbym żadnej znaleźć? Wszystkie duże firmy, o których względy zabiegałem, zauważyłyby moje nagłe zniknięcie z galerii, zauważyłyby, że dokładnie w tym samym czasie zdematerializowała się gwiazda zapowiadanej z takim szumem letniej wystawy, i to by był koniec. Gdybym chciał znaleźć nową pracę, musiałbym wyjechać z kraju, a nawet to niewiele by mi dało. A skoro już mowa o wyjeździe z kraju, to czy mogli aresztować Tiernana i mnie za oszustwo? Dzięki Bogu, nie sprzedaliśmy żadnego obrazu Gougera, nie twierdziliśmy też, że autorem jest Picasso, ale podstępem wyłudziliśmy środki finansowe, co musiało być przestępstwem...

Jak już wspomniałem, nie miałem zwyczaju się zamartwiać, więc zaskoczyło mnie to stężenie lęku w tych chwilach. Kiedy patrzę na te swoje reakcje z perspektywy czasu, korci mnie, żeby po prostu uznać je za przeczucia, których znaczenia nie potrafiłem odczytać, za przeraźliwy sygnał alarmowy ostrzegający o niebezpieczeństwie, wysłany do mnie w pilnym trybie, ale zniekształcony, nieznacznie, choć z fatalnym dla mnie skutkiem, przez mój ograniczony umysł. Wtedy uważałem, że to tylko drobny kłopot, i nie zamierzałem dać się zastraszyć. Po kilku minutach narastającej paniki zrywałem się, gasiłem ją trzydziestosekundowym lodowa-

tym prysznicem, otrząsałem się jak pies i wracałem do przerwanej czynności.

W piątek rano czułem lekki niepokój, przez co dość długo szukałem odpowiedniego stroju, aby wysłał jednoznaczny komunikat. Koszula i spodnie Dockers, czyli mój standardowy zestaw do pracy – zbyt beczelny, jakbym z góry zakładał, że wszystko wróciło do normy. Mój najlepszy, szyty na miarę czarny garnitur – zbyt ponury i grobowy, jakbym spodziewał się zwolnienia. Z czerwono-różowym krawatem jako kolorowym akcentem – zbyt arogancki, jakbym spodziewał się zwolnienia, ale miał już na oku nową pracę w nieco podejrzanym domu aukcyjnym. Wreszcie zdecydowałem się na ciemnoszary tweedowy garnitur i gładką białą koszulę: poważny, skruszony, gotowy na powrót do pracy.

Tak czy inaczej, kiedy zapukałem do Richarda, czułem się już dość pewny siebie. Nawet jego szorstkie „Proszę” nie wytrąciło mnie z równowagi.

- To ja – powiedziałem, nieśmiało zaglądając przez drzwi.
- Wiem. Siadaj.

Pokój Richarda był nieokiełznanym gabinetem osobiowości, w którym trzymał rzeźbione antylopy, pieniążkowce, reprodukcje Matisse’a, pamiątki, które przywiózł z podróży, niebezpiecznie chyboczące na półkach, rzędach książek i innych pamiątkach. Przerzucał bez celu gruby plik papierów. Przysunąłem sobie krzesło naprzeciw biurka, pod kątem, jakbyśmy razem mieli robić korektę broszur.

– Nie muszę ci mówić, o co chodzi – powiedział, zanim zdążyłem się usadowić.

Gdybym udawał niewiniątka, popełniłbym poważny błąd.

- O Gougera.
- O Gougera. Tak. – Richard wziął ze sterty kartkę, przez chwilę patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, po czym odłożył ją na miejsce. – Kiedy się dowiedziałeś?

Modliłem się w duchu, żeby Tiernan trzymał głowę na kłódkę.

– Parę tygodni temu. Dwa, może trzy – odparłem, choć było to znacznie wcześniej.

Richard w końcu na mnie spojrzał.

– I nic mi nie powiedziałeś. – W jego głosie pobrzmiwała lodowata nuta. Był ciągle wściekły, naprawdę wściekły; nic a nic mu nie przeszło.

– Chciałem to zrobić. – Włożyłem w swoje słowa więcej przejęcia. – Ale wtedy, kiedy się dowiedziałem, wszystko już szasło za daleko, rozumiesz? Prace Gougera wisiały na naszej stronie, były nawet na zaproszeniu... wiem na pewno, że „Sunday Times” przyjął je właśnie z jego powodu, a ambasador... – Mówiłem za szybko, paplałem, jak gdybym chciał zagadać własne wyrzuty sumienia. Zwolniłem. – Myślałem tylko o tym, że wyglądałoby to bardzo podejrzanie, gdyby zniknął tuż przed otwarciem wystawy. To by mogło wzbudzić wątpliwości co do całego projektu. Całej galerii. – Przy tych słowach Richard na moment zamknął oczy. – Poza tym nie chciałem zrzucać odpowiedzialności na ciebie. Dla tego...

– Teraz ja jestem odpowiedzialny. I masz rację, to będzie wyglądać niezwykle podejrzanie.

– Możemy to naprawić. Serio. Przez ostatnie trzy dni opracowywałem plan. Jeszcze dzisiaj możemy załatwić całą sprawę. – „Możemy”: wciąż stanowimy zespół. – Skontaktuję się ze wszystkimi gośćmi i krytykami, wytłumaczę, że wprowadziliśmy małą zmianę na liście wystawianych prac i uznaliśmy, że należy ich zawiadomić. Powiem im, że Gouger stchórzył i postanowił się wycofać... boi się, że jego wrogowie węszą, dlatego musi przez jakiś czas unikać rozgłosu. Liczymy na to, że niedługo rozwiąże swoje problemy osobiste i wróci do nas ze swoimi pracami. Trzeba dać im trochę nadziei i pozbawiać ich jej stopniowo. Wyjaśnię, że praca z osobami z takich środowisk wiąże się z ryzykiem i chociaż oczywiście przykro nam z tego powodu, to nie żałujemy, że daliśmy mu szansę. Tylko potwór mógłby tego nie zrozumieć.